

# **Trup w obłokach, czyli historia maszyny latającej w powietrzu**



ARTHUR CONAN DOYLE

# Trup w obłokach, czyli historia maszyny latającej w powietrzu

TŁUM. NIEZNANY

Był chłodny, wilgotny wieczór marcowy. Przez gęstą, przenikliwą mgłę spowijającą ziemię zaledwie przebijały się światełka latarni ulicznych.

Zalane światłem elektrycznym wystawy sklepów niknęły w tej szarej, wilgotnej mgłę. Wysokie domy, melancholijnie otaczające ulicę, stały ciemne. Tylko z trzech okien pierwszego piętra jednego z domów biło jasne światło, na które z zaciekawieniem spoglądali nieliczni przechodnie.

Mieszkał tam Franciszek Pericord, wynalazca, inżynier-elektrotechnik. Światło w pracowni jego świadczyło o niezmordowanej pracy uczonego. Gdyby kto z przechodniów mógł zajrzeć przez okno do gabinetu, ujrzałby w nim dwóch ludzi, stanowiących silny z sobą kontrast. Jeden z nich, sam Pericord, miał wygląd drapieżnego ptaka; ostre rysy twarzy, czarne włosy. Drugi — Jeremiasz Brown, przysadzisty, krępy, blondyn o oczach niebieskich, był znanym mechanikiem. Dokonali już wspólnie kilku wynalazków. Jeden — geniusz twórczy, miał w praktycznym, zrównoważonym umyśle drugiego — niezbędną podporę.

Tego wieczoru Brown pozostał dłużej w pracowni Pericorda, zatrzymany próbą, której wynik miał uwiecznić powodzeniem całe miesiące wspólnej, ciężkiej pracy.

Siedzieli obaj przy stole, poplamionym różnymi płynami żrącymi i kwasami, zastawionym i zarzuconym akumulatorami, bateriami, izolatorami itd. W samym środku stołu, wśród najrozmaitszych przyrządów technicznych, wznosiła się nadzwyczaj dziwna maszyna, obracająca się ze szczególnie osobliwym warczeniem.

Niezwykłą tę maszynę z gorączkową uwagą obserwowali obaj współpracownicy.

Nieliczone mnóstwo metalowych nici łączyło niewielką, czworokątną, metalową skrzynkę ze stalowym kołem, zaopatrzoną z obydwu stron w obręcz. Samo koło było nieruchome, ale obręcz i przymocowane do nich niewielkie drążki obracały się z zawrotną szybkością. Widocznie było, że siła obracająca maszynę, pochodziła ze skrzynki metalowej. W powietrzu dał się czuć słaby zapach ozonu.

— Panie Brown, a gdzie są skrzydła? — spytał wynalazca.

— Nie mogłem ich przynieść, gdyż są zbyt wielkie, mierzą przecież 2 metry i 15 centymetrów długości, a 90 centymetrów szerokości. Ręczę jednak, że motor jest dość silny, aby je w ruch puścić.

— Są przecież aluminiowe z domieszką miedzi?

— Tak.

— Niechże pan spojrzy, jak wspaniale działa!

Mówiąc to, Pericord swoją nerwową, suchą ręką przycisnął guzik, dzięki czemu wirujące drążki zaczęły zwalniać swój bieg i wreszcie zupełnie stanęły. Potem przycisnął inną sprężynę i drążki znów się obracać zaczęły.

— Przy dokonywaniu prób — objaśniał Pericord — nie trzeba zużywać sił fizycznych, można pozostać zupełnie biernym, posiłkując się tylko rozumem.

— Wszystko to dzięki memu motorowi — powiedział Brown.

— Naszemu motorowi — sucho poprawił towarzysz.

— Naturalnie — odpowiedział niecierpliwie Brown — myśl, idea jest pańska, ale samo wykonanie moje. Niech go pan nazwie, jak się panu podoba.

— Nazwę go motorem Brown-Pericord — zawołał wynalazca i w oczach jego błysnęła nienawiść — pan wykonałeś tylko szczegóły, ale idea jest moja, tylko moja...

— Tak, ale sama idea nie jest w stanie puścić w ruch motoru — zauważył szorstko Brown.

— Ma się rozumieć; dlatego uciekłem się do pańskiej pomocy — przerwał Pericord, bębniąc gorączkowo palcami po stole — ja wynalazłem, pan wykonałeś moją myśl, budując motor. Tym sposobem nasze zasługi i praca są zrównoważone.

Brown zaciął wargi. Widząc bezcelowość sprzeczki na ten temat, skierował całą uwagę na aparat, który przy każdym obrocie drgał i kołysał się, jak gdyby miał spaść ze stołu.

— Wspaniale, nieprawda? — spytał zachwycony Pericord.

— Zadawalniająco<sup>1</sup> — poprawił flegmatyczny Anglik.

— To źródło sławy!

— To źródło bogactwa!

— Nazwiska nasze zasłyną, jak nazwiska Mongolfierów<sup>2</sup>!

— Miejmy nadzieję, że staną obok nazwiska Rotszyldów...

— Nie, nie, pan, panie Brown, zbyt prozaicznie się zapatrujesz. Największą nagrodą dla nas będzie uznanie ludzkości.

Brown poruszył ramionami.

— Co się tyczy sławy, to ja z chęcią odstąpię panu swoją część. Jestem praktyczny materialista. No, a teraz trzeba wypróbować pański wynalazek.

— Gdzie?

— Właśnie o tym chciałem pomówić z panem. Koniecznie trzeba zachować w tajemnicy sekret wynalazku. W Londynie jest to niemożliwe. Ach, gdybyśmy mieli odpowiednie, odosobnione miejsce.

— Wypróbujemy aparat za miastem.

— Właśnie chciałem panu coś zaproponować, a mianowicie: brat posiada niedaleko stąd majątek. Pamiętam, że blisko domu znajduje się obszerna szopa. Brat mój wyjechał chwilowo i klucz od szopy znajduje się u mnie. Wywieziemy tam aparat i wypróbujemy.

— Doskonale!

— Pociąg do Eastborne wychodzi o pierwszej.

— Będę na dworcu.

— Niech pan przywiezie motor, a ja dostawię skrzydła — powiedział mechanik, wstając. — Jutro dowiemy się, czy dzieło nasze jest marzeniem, czy też rzeczywiście drogą do bogactwa. Tak więc o pierwszej spotkamy się na Dworcu Wiktorii.

Brown prędko zeszedł po schodach i wkrótce zniknął wśród mgły.

---

Nazajutrz pogoda była wspaniała, prawdziwie wiosenna. Na błękitnym niebie mknęły lekkie, białe chmurki.

Rano około godziny jedenastej, można było widzieć Browna, wchodzącego do biura patentów ze zwojem rysunków i planów pod pachą.

W południe wyszedł rozpromieniony, chowając troskliwie do pugilaresu arkusik niebieskiego papieru urzędowego.

Na pięć minut przed pierwszą zajechał przed Dworzec Wiktorii. Woźnica wyniósł z powozu dwa olbrzymie pakunki, zawinięte w płótno. Pakunki te, mające wygląd olbrzymich latawców, oddano na багаż.

Pericord czekał już na niego.

— Czy wszystko w porządku? — zapytał.

Na zapadłych policzkach jego ukazał się zaledwie widoczny rumieniec. Zamiast odpowiedzi Brown pokazał pakunki.

---

<sup>1</sup> *zadawalniająco* (daw.) — dziś popr.: *zadowalająco*. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *Bracia Montgolfier* — Joseph Michel Montgolfier i Jacques Étienne Montgolfier, wynalazcy balonu na ogrzane powietrze, tzw. *montgolfier*. [przypis edytorski]

— Ja też oddałem aparat i koło do wagonu bagażowego — objaśnił Pericord. — Ostrożniej! — krzyknął, zwracając się do konduktora. — Niech pan będzie łaskaw najwygodniej umieścić skrzynki, są w nich aparaty bardzo delikatne i drogie. No, a teraz nic nam nie przeszkadza ze spokojnym sumieniem udać się w dalszą drogę.

Po przybyciu do Eastborne cenny motor był zniesiony do omnibusu, na dachu którego umieszczono olbrzymie skrzydła. Po długich poszukiwaniach znaleźli wreszcie stróża, który im otworzył bramę.

Dom, do którego dążyli, był to zwyczajny dworek wiejski otoczony budynkami gospodarskimi i tonący w zieleni. Przy pomocy służącego udało się im przenieść bagaż do domu, gdzie umieścili go w ciemnej szopie.

Słońce już zachodziło, kiedy powóz odjechał, a współnicy pozostali wreszcie sami.

Pericord poniósł rolety; zachodzące słońce rzuciło swoje ostatnie promienie w kółko, kwadratowe szybki.

Brown, wyjąwszy z kieszeni scyzoryk, poprzecinał sznurki okręcające płótna. Ukazały się dwa ogromne, metalowe skrzydła. Troskliwie oparł je o ścianę, potem odpakowali koło, pasy, wreszcie motor. Noc już zapadła, gdy skończyli odpakowywać i doprowadzać do porządku wszystkie przywiezione przedmioty.

Zapalili lampę i w dalszym ciągu dopasowywali śruby, pasy, słowem, kończyli ostateczne przygotowania do próby.

— No, wreszcie wszystko gotowe — powiedział Brown, przysuwając się do aparatu, aby jeszcze raz uważnie go obejrzeć.

Pericord, milcząc, spoglądał na maszynę, na twarzy jego malowała się duma i nadzieja.

— Teraz może byśmy coś zjedli — rzekł Brown, wyjmując przywieziony prowiant.

— Potem! — zawołał Pericord.

— Nie, zaraz; ja po prostu umieram z głodu.

Mówiąc to, powolny mechanik z ogromnym apetytem zabrał się do jedzenia, gdy tymczasem jego towarzysz przechadzał się niecierpliwie po pokoju.

— Który z nas — przerwał, na koniec, milczenie Brown — pojedzie aparatem?

— Ja! — krzyknął Pericord. — To, co tu zajdzie dziś wieczorem, może się stać zdarzeniem historycznym.

— Tak, ale to jest niebezpieczne — zauważył Brown — przecież nie wiemy, jak będzie funkcjonował nasz aparat.

— No, więc cóż?

— Nie ma sensu iść na pewną śmierć.

— Więc co pan myślisz robić? Tak czy owak jeden z nas musi zaryzykować życie.

— Po co? Aparat może być puszczony, gdy przyczepimy doń jakikolwiek przedmiot.

— To prawda — zgodził się Pericord.

— Posiadamy cegły i worek, dlaczego by nie można było przyczepić do aparatu worka z cegłą zamiast pana?

— Wspaniała myśl!

— No, więc nie traćmy czasu!

Wyszli obaj, niosąc różne części aparatu.

Księżyc świecił jasno, od czasu do czasu chowając się za płynące obłoczki. Obaj towarzysze zatrzymali się, nadśluchując... Wszędzie panowała cisza, tylko z oddali dochodził szum morza i szczekanie psów. Brown zajął się zaś nakładaniem cegły do worka. Pericord zaś skwapliwie znosił do szopy przedmioty, które mogłyby im być potrzebne.

Kiedy wszystko było przygotowane, zamknęli szopę. Worek z cegłą ustawili na dwóch kozłach, do których przymocowali na brzegu worka stalowy ster o kształtach rybiego ogona.

— Trzeba będzie urządzić tak, aby aparat zakreślił koło jak najmniejsze — mrucał Pericord.

— Niech pan przyczepi ster z boku poradził Brown. — No, a teraz wszystko w porządku!

Pericord pochylił się naprzód; jego wyprostowana, chuda figura jak gdyby się skurczyła; nerwowymi i bladymi rękoma gorączkowo przebierał po zielonych drutach. Brown zaś przypatrywał się, jak zawsze spokojnie, nie przejmując się.

Maszyna wydała oderwany, suchy dźwięk. Olbrzymie żółte skrzydła rozwinęły się konwulsyjnym ruchem, zwinęły i znów rozwinęły, machnęły szeroko, poruszywszy powietrze w szopie. Przy piątym zamachu skrzydeł worek z cegłą uniósł się nad kozłami, przy szóstym podniósł się, zakołysał, przed siódmym wreszcie wznosił się w górę. Maszyna uniosła się w powietrze i powoli kręciła się na jednym miejscu, zupełnie jak olbrzymi, niezgrabny ptak, wypełniając szopę świstem i chrapaniem. Dziwny obraz przedstawiał ten ogromny tułów poruszający się w półmroku szopy; to ginął w cieniu, to znowu ukazywał się w smudze światła lampki.

Przez chwilę obydwaj milczeli... Wreszcie Pericord nie wytrzymał, podnosząc ręce do góry zawołał:

— Wzniósł się, wleciał! Motor Brown-Pericord działa! — i w porywie radości, jakby oszalały, zaczął tańczyć.

Brown pogwizdywał tylko wesoło.

— Panie Brown niech pan patrzy, jak prawidłowo działa i jak ster wspaniale prowadzi maszynę. Zaraz jutro trzeba będzie wystarać się o świadectwo w biurze patentów.

Brown się zachmurzył.

— Patent już jest — mruknął wreszcie z wymuszonym uśmiechem.

— Już jest — powtórzył Pericord. — Już jest patent? Któż się ośmielił wziąć moje plany?! — ryknął.

— Ja. Ja to zrobiłem dziś rano. Niech się pan nie irytuje, nie oplaci się denerwować!

— Pan opatentowałeś motor? Na czyje nazwisko?

— Na swoje; zdaje się, że mam do tego prawo!

— A moje nazwisko w patencie nie jest umieszczone?

— Nie... ale...

— Ach! Podły — krzyknął Pericord — złodzieju, łajdaku... Ukradłeś moją ideę, chcesz podstępnie skorzystać z zaszczytów sławy, która powinna należeć do mnie! Ale ja dostanę ten patent, słyszysz? Choćby mi przyszło przetrząść ci gardło!

Czarne oczy jego sypały iskrami, ręce zaciskały się konwulsyjnie.

Brown, choć śmiały i odważny, odsuwał się od Pericorda, kiedy ten za bardzo się doń przybliżał.

— Ręce na dół — zawołał, wyjmując nóż z kieszeni — potrafię obronić się w razie napadu.

— Co to, groźba?! — krzyknął, siniejąc z gniewu, Pericord. — Pan jesteś zdolny zostać mordercą, jak zostałeś złodziejem!... Oddaj mi patent!

— Nie!

Pericord skoczył jak dziki zwierz; jego przeciwnik wyrwał się, ale się potknął o pustą skrzynkę i upadł.

Lampa zachwiała się, spadła i zgasła. Szopa pogrążyła się w ciemności, tylko słaby promyk księżycy, przebijając się przez wąską szczelinę, drgał na ogromnych skrzydłach.

— Oddasz patent?

Milczenie.

— Zwrócisz mi go czy nie?

Milczenie. Żadnego dźwięku oprócz brzęczenia i zgrzytania maszyny.

Z sercem ściśniętym trwogą Pericord zaczął w ciemności po omacku szukać wokoło siebie. Na koniec palce jego dotknęły czyjejś ręki. Ręka ta była nieruchoma. Gniew zamienił się w przerażenie. Potarłszy zapałkę, podniósł lampę i zapalił. Brown leżał na ziemi wyciągnięty. Pericord objął go rękoma i uniósł.

Teraz poznał przyczynę milczenia przeciwnika. Nieszczęśliwy, padając, przekręcił prawą rękę, w której trzymał nóż i całym ciężarem wbił go sobie w ciało. Śmierć nastąpiła natychmiast.

Siadłszy na brzegu przewróconej skrzynki, wynalazca wbił tępy, bezmyślny wzrok w przestrzeń...

Nad nim wciąż huczał i syczał „Motor Brown-Pericord”. Tak przesiedział kilka minut, a może kilka godzin.

Tysiące szalonych myśli roilo się w jego rozpalonym mózgu. Był przecież mimowolną przyczyną śmierci towarzysza, ale któż mu uwierzy? Ubranie miał zbroczone krwią...

wszystko świadczyło przeciw niemu. Lepiej uciekać... a jeszcze lepiej było by uwolnić się od trupa, aby mając kilka dni czasu, usunąć wszelkie podejrzenia... Wtem dał się słyszeć silny huk i Pericord zerwał się na równe nogi. Worek z cegłami, podnosząc się, zaczepił się za belkę w suficie.

Przy uderzeniu zerwał się drut, łączący aparat z maszyną i ta ostatnia spadła na ziemię. Pericord uwolnił koło, motor był cały. Szalona myśl przebiegła mu przez głowę.

Teraz maszyna była dlań ciężarem. Miał możliwość uwolnić się od niej i od trupa...

Otworzył wrota szopy i wyniósł trupa towarzysza.

Brown leżał pod gołym niebem, oświetlony bladym, zimnym światłem księżyca.

Niedaleko znajdował się niewielki wzgórek. Pericord, dostawszy się na wierzchołek, ostrożnie położył trupa na ziemi...

Potem wrócił się do szopy i przeniósł stamtąd na pagórek koło, motor i skrzydła.

Drżącymi palcami otoczył trupa stalowym kołem, przymocował skrzydła, skrzynkę z motorem, połączył metalowe przewodniczki. W ciągu dwóch lub trzech minut olbrzymie skrzydła drgnęły; potem cały korpus maszyny zaczął się podnosić i wreszcie wznosił się do góry, oświetlony trupim światłem księżyca.

Pericord, nie mogąc skorzystać ze steru, skierował śrubę maszyny na południe.

Podnosząc się wyżej i wyżej, olbrzymi ptak posuwał się w stronę morza. Pericord, nie odrywając oczu, patrzył za nim — za tym czarnym ptakiem z żółtymi skrzydłami, dopóki nie skryły go mgły nad oceanem.

---

W zakładzie dla umysłowo chorych w New Yorku, znajduje się człowiek o dzikim wyglądzie, o którym nikt nic nie wie, kto on jest i skąd się wziął.

— Delikatne i skombinowane maszyny zawsze pędzej się psują — mówią lekarze i pokazują elektryczne aparaty i nadzwyczajne statki powietrzne, jakie chory stara się budować w chwilach przytomności.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/trup-w-oblokach-czyli-historia-maszyny-latajacej-w-powietrzu/>

Tekst opracowany na podstawie: Mark Twain, *Trup w obłokach, czyli historia maszyny latającej w powietrzu*, 1912.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

ISBN 978-83-288-5855-8

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).